STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA
KRAKÓW
www.spp-krakow.org

QUOD LIBET

ISSN-1897- 4856

Nr 05/2012
79

TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE



W numerze

Dzisiaj rano niespodzianie zapukała do mych drzwi
Wcześniej niż oczekiwałem przyszły te cieplejsze dni
Zdjąłem z niej zmoknięte palto, posadziłem vis a vis
Zapachniało, zajaśniało, wiosna, ach to ty
Wiosna, wiosna, wiosna, ach to ty

Marek Grechuta

SPOTKANIA NA KRESACH GRÓDEK PODOLSKI

– cd.

Po jednym z większych deszczy na centralny plac miasta spłynęło ze zbocza jaru, na którym stoi Gródek, dużo mułu. Lokalne władze kazały komunalnej ekipie przy pomocy spychacza zepchnąć piach na pryzmy i wywieść na wysypisko. Miejscowe babcie zapłaciły jednak parę rubli kierowcy ciężarówki, by nie wywoził piachu na wysypisko, ale wyrzucił go przy bramie prowadzącej na cmentarz. Stąd wiadrami rozsypały go wokół kaplicy i na drogę prowadzącą od bramy do kaplicy. Władza nie zamierzała jednak tolerować takiego nieposłuszeństwa. Gdy babcie kończyły rozsypywać piach, pod cmentarz przyjechali prokurator z milicjantem, a w chwilę później pod bramą zatrzymały się spychacz i ciężarówka. Babcie musiały piasek zgarniać do wiader i z powrotem ładować na ciężarówkę, by ta mogła go wywieźć na śmietnik.

Gródeccy parafianie dobrze zapamiętali tę lekcję i następne inwestycje robili tak, by władza się o nich nie dowiedziała. W ten sposób wykonali na przykład remont sufitu kaplicy. Sufit został usunięty a poddasze wzmocnione belkami. – Dzięki przebudowie kapliczki i budowie chórku swoje nowe miejsce zyskała nie tylko fisharmonia, ale także parafialny chór, kierowany przez dojeżdżającego z Dunajowiec organistę Józefa Zakrzewskiego – wspomina ks. Franciszek. – Chór ten bardzo szybko stał się znany w całej okolicy. Jego członkami byli: Eugeniusz Chama, Jan Szczucki, Alojzy Skowron, Michał Jasiński, Michał Kotlinowski, Celestyna Góra, siostra Maria Grinkiewicz, Maria Korczak, Julia Banas, Julia Włoszczkiewicz, Maria Fedoszuk, Janina Turczyńska, Walentyna Szczuka, Walentyna Górecka, siostry Stanisława i Weronika Czarneckie, siostra Franciszka Galka, Florian Gurniewicz, Antoni Czepurny i wiele innych młodych dziewcząt, których nazwisk nie pamiętam. Do parafialnego aktywu, który wspierał mnie przy każdej okazji, należeli wówczas: Józef Małecki, Bronisław Migul, Zygmunt Licznarowski, Stanisław Owsiak, Cezary Kinczyk, Alojzy Siułec, Antoni Posławski, Józef Słobodziarz, Mikołaj Papadin, Eugeniusz Chama, Władysław Zagórowski i wielu innych. Dzięki nim wspólnota była zwarta i nie dawała się rozbić.

Wewnętrzna przebudowa kapliczki nie była jedyną zmianą. By tłum wiernych przychodzących na Mszę Świętą mógł w niej aktywnie uczestniczyć, powiększono jedno z okien budowli. W nim ks. Franciszek zaczął sprawować Najświętszą Ofiarę, dzięki czemu miał kontakt z wiernymi. Wierni tworzyli przy oknie ciasne kręgi. Najbliższy tworzyły dzieci, następny młodzież, a kolejny dorośli. Z prawej strony stali mężczyźni, a z lewej kobiety.

Po kilku miesiącach ks. Karasiewicz, ryzykując konflikt z władzami, zainstalował w kaplicy przenośne nagłośnienie, dzięki któremu wszyscy obecni na przylegającym do kaplicy cmentarzu mogli uczestniczyć we Mszy Świętej. Nabożeństwo jeszcze się nie skończyło, gdy ks. Karasiewiczowi doniesiono, że chcą się z nim zobaczyć dwaj pracownicy rajkomu w asyście milicjanta. Wierni tworzący zwarty krąg wokół kaplicy oczywiście ich nie przepuścili. Zrobili to dopiero wtedy, gdy ks. Karasiewicz dał sygnał, że aparatura nagłaśniająca została zdemontowana i wyniesiona z kaplicy. Gdy weszli oni do środka kaplicy, by ją przeszukać, to nic nie znaleźli i wpadli we wściekłość. Następnego dnia KGB zaczęło przesłuchiwać ludzi, kto przyczynił się do instalacji nagłośnienia. Nikt im oczywiście nic nie powiedział. Sprawa przyschła. Ksiądz Franciszek poszedł jeszcze dalej. Nagrał na taśmę nauki dotyczące spowiedzi, rachunku sumienia, modlitw przed i po rachunku sumienia. Gdy nauki te szły przez megafon, on w konfesjonale spowiadał ludzi. W duszpasterstwie pomagali mu też ministranci, szczególnie Jan Paweł Lenga i Antoni Czarnecki. Jan Lenga nie tylko został kapłanem, ale po rozpadzie ZSRR wyniesiono go do godności arcybiskupa Karagandy.

Polacy mieszkający w Gródku, broniąc swej wiary i narodowości, nie tracili poczucia humoru. By KGB nie zajmowało się tylko ich wspólnotą, organizowali też czasem „akty sabotażu". – Pewnego ranka ktoś oblał pomnik Lenina walerianą, która dla kotów była afrodyzjakiem – wspomina ze śmiechem ks. Karasiewicz. – Gdy pracownicy rajkomu i rady miejskiej szli do pracy, wokół Lenina w najlepsze trwało kocie wesele. Śmiechu było co nie miara. Kagiebiści długo szukali ludzi, którzy kupowali w okolicznych aptekach krople walerianowe.

Oczywiście nie wszyscy Polacy mieszkający w Gródku byli bohaterami. Niektórzy przestali chodzić na Mszę Świętą do kaplicy i wyparli się swojej narodowości. W wielu rodzinach doszło do rozłamów. Bywało, że dzieci w tajemnicy przed swymi rodzicami starały się uczęszczać do kaplicy. – Kiedyś zimą przy kaplicy zobaczyłem chłopaka całego w śniegu. Spytałem go od razu, gdzie się tak w nim powalał. Odpowiedział mi, że jego ojciec wozi naczelnika i zabrania mu chodzić do kaplicy: „Żeby mnie nie zobaczył, szedłem na Mszę Świętą przez cmentarz, przez głęboki śnieg". Urzędnicy wyznaniowi chcieli nie tylko wiedzieć, kto chrzci swoje dzieci i zawiera związek małżeński, ale także, kto po katolicku chowa swoich bliskich. Generalnie jednak większość rodziców dbała o religijne wychowanie dzieci. Ksiądz Antoni Chomicki, który przyjechał pomóc mi w rekolekcjach, był sytuacją religijną w Gródku zbudowany. Wyjeżdżając, powiedział: „Myślałem, że Murafa jest na Podolu najbardziej katolicka, ale widzę, że i w Gródku nie jest źle. Jest w nim nawet więcej młodzieży".

W 1972 roku władze postanowiły pozbyć się księdza Karasiewicza z Gródka. Wymyśliły plan, któremu wierni z miasteczka nad Smotryczem nie mogli teoretycznie nic zarzucić. Nie usunęły księdza i nie zakazały mu wykonywania obowiązków kapłańskich, ale przeniosły go do parafii w Hreczanach koło Chmielnickiego. – Gdy ksiądz Karasiewicz pojechał do Hreczan, kilkuset mieszkańców Gródka udało się za nim. Po zakończeniu Mszy Świętej porwali księdza sprzed ołtarza i w szatach liturgicznych przywieźli do Gródka – wspomina Stanisław Gumieniuk. – Władze uznały, że to ks. Karasiewicz jest inicja-torem całej akcji i wezwały go do Obwodowego Komitetu Par-

tii. W ślad za nim pojechało do Chmielnickiego znów kilkaset osób. Stanęli na placu, przed „Obkomem", otoczyli wianuszkiem pomnik Lenina. Po pewnym czasie wszyscy uklękli przed pomnikiem i zaczęli błagać, by władze nie zabierały im księdza. Wzbudziło to w mieście sensację. Tłum na placu zaczął gęstnieć i po kilku godzinach władze ogłosiły, że ksiądz Karasiewicz wróci do Gródka i będzie nadal w nim pracował.

Nie znaczy to oczywiście, że pozostawiono go w spokoju. Ksiądz Franciszek uśmiecha się tylko, gdy wspomina tamte czasy. – Przyjeżdżali do mnie z Kijowa i z Chmielnickiego i starali się mnie przekonać, żebym tak aktywnie nie pracował. Miejscowy pełnomocnik, który stale miał przeze mnie kłopoty, też namawiał mnie, bym przynajmniej formalnie nie wykazywał efektów swego duszpasterstwa. Ochrzciłeś dziesięciu, zapisz jednego, radził. Udzieliłeś pięciu ślubów, wykaż tylko jeden, itp. Tłumaczył, że ma żonę i dzieci i nie chce przez moją gorliwość być stale wytykany jako najgorzej wykonujący swoje obowiązki, którego już dawno powinno się wyrzucić z partii. Często prosił mnie: „O polityce nic nie mów. Mów w kazaniach o Panu Bogu, o Matce Bożej, o Panu Jezusie, ale polityki nie ruszaj, bo to się źle skończy". Dobrze wiedział, że nie tylko on pisze raporty do Chmielnickiego, że na każdym nabożeństwie jest ktoś z KGB, że stale mnie śledzą…

Ksiądz Karasiewicz nie zamierzał ulec perswazji sowieckich urzędników. Nie zmniejszył tempa swojej działalności, wręcz przeciwnie. Na Wielkanoc w 1973 roku wyspowiadał cztery tysiące trzysta szesnaście osób. Dokładną liczbę mógł ustalić na podstawie kartek wydawanych przed spowiedzią wielkanocną. Na każdej z nich penitent musiał zapisać imię, nazwisko, rok urodzenia i miejsce zamieszkania.

Praca ponad siły, a także konieczność dojazdów do dwóch parafii, mocno nadwerężyły zdrowie ks. Franciszka. W 1975 roku po raz pierwszy trafił do szpitala z objawami zawału serca. Przez następne dwa lata stan zdrowia ks. Karasiewicza pogorszył się na tyle, że nie był już w stanie obsługiwać trzech parafii. Przeniósł się za aprobatą zwierzchników do Derażni, gdzie miał mniej pracy.

Po odejściu ks. Karasiewicza gródeccy wierni przez kilka lat ponownie zaczęli starać się o przyjazd kolejnego kapłana. Ludzie zbierali się na modlitwie w prywatnych domach. Szczególną rolę odgrywał dom dwóch katechetek, które ludzie nazywali ciociami, nie podejrzewali nawet, że są to ukryte zakonnice honoratki. Siostry przechowywały u siebie Najświętszy Sakrament. Był on ukrywany we wnętrzu figurki Matki Bożej Niepokalanego Poczęcia. W domu tym modlono się praktycznie codziennie, od obiadu aż do późnych godzin wieczornych. Odprawiano nabożeństwa para liturgiczne, odmawiano różaniec. Tu na katechezie spotykały się dzieci, wciągane przez siostry w różne przedsięwzięcia duszpasterskie. W drugi dzień Bożego Narodzenia i w Nowy Rok dzieci chodziły kolędować. Od sióstr otrzymywały adresy osób, do których mogły bez obaw zastukać. Dzięki temu zarówno one, jak i odwiedzane rodziny wiedziały, że jest Boże Narodzenie, czyli dzień, który należy święcić.

W 1977 roku władza zgodziły się na przyjazd do Gródka ks. Władysława Wanagsa. Ten wybitny kapłan ożywił religijnie całą okolicę. Choć pochodził z polsko-łotewskiej rodziny z Łatgalii, dopiero w Gródku nauczył się języka polskiego. Był on kapłanem o wielkiej odwadze, niezłomnej wierze i ogromnym talencie organizacyjnym.

Jego droga do kapłaństwa nie była prosta i łatwa. Wyświęcony został dopiero w wieku czterdziestu trzech lat. Urodził się jeszcze w wolnej Łotwie w 1931 roku w chłopskiej zamożnej rodzinie we wsi Strody kolo Krasławia w Łatgalii. W latach 1949-1952 odbył służbę wojskową w Armii Radzieckiej. Ukończył też szkołę podoficerską artylerii w Gwardiejsku koło Kaliningradu i pracował w niej następnie przez dwa lata jako dowódca baterii haubic. Po opuszczeniu armii wrócił na Łotwę i w Jegławie został naczelnikiem transportu w fabryce maszyn rolniczych. W 1967 roku objął funkcje zakrystianina przy kościele św. Franciszka w Rydze i równocześnie uczył się w tamtejszym seminarium duchownym. Po wyświęceniu na kapłana pracował krótko jako wikariusz w dwóch parafiach, by w końcu trafić do Gródka.

Władze sowieckie, zgadzając się na jego rejestrację w Gródku, łudziły się, że nie zdobędzie on szacunku wśród jego mieszkańców, a nawet zostanie współpracownikiem organów bezpieczeństwa. Władysław Wanags był istotnie księdzem nietypowym. Przy pierwszym kontakcie wydawał się zimny, opryskliwy, ponury i odpychający. Od pierwszego dnia zarządzał parafią jak jednostką wojskową. Nie prosił, nie uzgadniał, ale wydawał rozkazy. Swoją ogromną gorliwością duszpasterską szybko jednak zjednał sobie tutejszych wiernych. Od początku zrozumiał, jak wielkie znaczenie dla gródeckiej wspólnoty ma kult św. Antoniego i stał się jego gorącym propagatorem. Gródczanom spodobało się nawet obco dla nich brzmiące nazwisko księdza. Wytłumaczył im, że po łotewsku Wanags znaczy Orzeł. Gdy KGB uznało, że „łotewski orzeł" zawiódł ich nadzieje i nie zostanie jego współpracownikiem, podjęło przeciwko niemu zorganizowaną kontrakcję mającą osłabić jego wpływ i autorytet. Już w pierwszym roku jego posługi w Gródku podjęło próbę podpalenia kapliczki, by winą za jej spłonięcie obarczyć księdza. Próba ta się nie powiodła. Ksiądz, który ostatni wyszedł z kaplicy po wieczornym nabożeństwie, czymś tknięty, wrócił do środka i ugasił ogień w zarodku, alarmując jednocześnie wiernych. Dzięki temu popularność ks. Wanagsa wśród wiernych wzrosła.

Uznali, że stał się on narzędziem św. Antoniego, który poprzez niego dokonał cudu, ratując miejsce swojego kultu…

Po tym wydarzeniu pobożność w Gródku wzrosła jeszcze bardziej. Na Msze Święte przychodziły tysiące wiernych. Według jego przekazów, do wielkanocnej spowiedzi w pierwszym roku jego działalności przystąpiło siedem tysięcy osób. Ksiądz Władysław wiedział, że trzeba w Gródku zbudować kościół z prawdziwego zdarzenia i zaczął starać się o stosowne zezwolenie. Władze nie zamierzały go oczywiście dać. Już sama inicjatywa księdza wywołała wśród nich popłoch. On sam nie zamierzał jednak składać broni. Zmobilizował wiernych do modlitwy w intencji zdobycia odpowiedniego zezwolenia. Setki starszych parafian dzień i noc odmawiały pacierze, by wymodlić zgodę władz.

Ksiądz Wanags nie chcąc zbyt długo czekać, zaczął rozbudowywać kaplicę, Na miejsce przyjechała komisja z Moskwy. Ksiądz Władysław bardzo plastycznie wytłumaczył, co zamierza robić. Powiedział, że chce dobudować pięć metrów z przodu, pięć metrów z tyłu, pięć metrów z prawa i pięć metrów z lewa. Komisja projektu tego oczywiście nie zaakceptowała i na pięć lat wstrzymała całkowicie prace, grożąc użyciem siły w przypadku nie zastosowania się do jej poleceń. KGB uznało ks. Władysława za wroga numer jeden w całym Obwodzie Chmielnickim. Gdy wyjeżdżał z Gródka, zawsze towarzyszyła mu ochrona złożona z wiernych. Raz dzięki swojej postawie uratowali go przed wyrokiem skazującym. Sąd pod presją olbrzymiego tłumu zrezygnował z prowadzenia rozprawy. Opluwano go w prasie, rozpuszczano plotki, że nie tylko jest kobieciarzem, ale że ma na Łotwie żonę, z którą żyje w cywilnym związku. Wierni oczywiście nie wierzyli w te plotki. Zdążyli bowiem na tyle poznać księdza Władysława, że wiedzieli, iż jest on zwolennikiem twardej, surowej, przedsoborowej ascezy. W stosunku do kobiet był szczególnie wymagający. Nie tylko nie znosił mini spódniczek, ale też nie tolerował spodni u dziewcząt. Przywiązywał ogromną wagę do uczestnictwa wiernych we Mszy Świętej nie tylko w niedzielę, ale i w dzień powszedni. Gdy pewnego dnia na wieczornej Mszy zastał w kaplicy tylko czterdzieści osiem osób, na drugi dzień przed Mszą „potrząsnął” sumieniami wiernych. Przypomniał im, że był czas, kiedy w Gródku nie było kapłana, Mszy i Najświętszego Sakramentu i ludzie sami kopali sobie groby na cmentarzu. Dziś jest kapłan, Najświętszy Sakrament, ludzie mają chleb, mięso, telewizory i maszyny, ale do kościoła przychodzi wieczorem tylko garstka osób. Mówił: „Panie Jezu, Ty widzisz, że jeśli tak dalej będzie, to znaczy, że im niepotrzebny jest kościół, kapłan i Ty sam”. Ludzie padli na kolana i odpowiedzieli płaczem! Księdza Wanagsa to nie wzruszyło. Swoje wystąpienie zakończył twardym przykazaniem, by matki bez dzieci nie przychodziły do kaplicy. Na drugi dzień zjawiło się w niej masę dzieci… Do rodzin zaczęły przychodzić komisje złożone z nauczycieli i aktywistów partyjnych. Przekonywali je, że są nielojalni wobec władzy radzieckiej, która dała im pracę i mieszkanie. Tym małżeństwom, które oczekiwały dopiero na przydział tego ostatniego, dorzucali talon na inne dobra, takie jak lodówka itp. Reakcje na te „sugestie” były różne. Wiele polskich dzieci, których rodzice twardo bronili swego prawa do religijnego wychowywania dzieci, trafiło na „czarną listę” i miało poważne kłopoty z ukończeniem szkoły. Niektóre musiały jechać do rodzin w innych republikach, żeby zdać maturę. Dzieci, które uczęszczały do kościoła, były też bez przerwy poniżane przez nauczycieli, uczniów i działaczy Komsomołu. Chłopak wzywany do tablicy był nazywany „księdzem”, a dziewczyna „księdzychą”.

Mimo tych szykan wspólnota w Gródku rozwijała się i umacniała. Ksiądz Władysław stał się dla wiernych największym autorytetem. Przychodzili do niego w każdej sprawie. W duszpasterstwie, a zwłaszcza zaś w słuchaniu spowiedzi, pomagał mu ks. Henryk Mosing, doktor nauk medycznych, znany mikrobiolog, potajemnie wyświęcony na kapłana. Wsparcie ks. Władysławowi dawały też członkinie bezhabitowego Zgromadzenia Małych Sióstr Niepokalanego Serca Maryi, założonego przez bł. Honorata Koźmińskiego. Jedna z sióstr mieszkała z chorą matką, którą się opiekowała. Przepisywała modlitewniki, które po oprawieniu wędrowały w lud.

W 1988 roku, gdy powiewy gorbaczowowskiej pierestrojki zaczęły wreszcie docierać do Gródka, w ciągu dziewięciu miesięcy ks. Władysław zbudował na miejscu kaplicy duży kościół, wzorowany na katedrze wojska polskiego w Warszawie. Sam narysował architektowi projekt, który ten od strony dokumentacyjno-technicznej dopracował. W budowę zaangażowała się cała wspólnota. Bywały dni, w których na budowie pracowało po kilkaset osób. Miejscowe babcie ofiarowały na ten cel oszczędności całego swojego życia. Na uroczystość poświęcenia świątyni przyjechało dwudziestu ośmiu księży z Polski i Ukrainy. Z Rygi przybył biskup Julians Vaivods. Kilkanaście tysięcy wiernych, którzy przybyli na ceremonię, po raz pierwszy w życiu zobaczyło katolickiego hierarchę. Aby go sprowadzić, ks. Władysław musiał używać fortelu. Wiedząc, że władze nie będą chciałby dać zgody na jego zaproszenie, przyszedł do ich siedziby i obwieścił, że ludzie żądają od niego, by sprowadził na pogrzeb Prymasa Polski Józefa Glempa, który właśnie odwiedzał skupiska wiernych na Białorusi. Te oczywiście wpadły w popłoch. Orzekły, że jeżeli wierni koniecznie chcą biskupa, to niech im ksiądz sprowadzi jakiegoś, byle tylko nie Glempa.

Ksiądz Władysław Wanags starał się także wychować swoich następców. Jednym z nich był pochodzący z Oleszkowiec, miejscowości leżącej kilkadziesiąt kilometrów od Gródka, zamieszkanej w stu procentach przez potomków Mazurów, urodzony w 1954 roku. Antoni Andruszczyszyn, dziś znany na Ukrainie marianin. Początkowo pracował u niego jako zakrystianin, później jako organista. Był też jego kierowcą. Gdy ten uznał, że nadaje się na kapłana, zaczął go do tego przygotowywać. Doskonale zdawał sobie sprawę, że władze nie zgodzą się, by związany z nim chłopak został legalnie przyjęty do se-minarium duchownego w Rydze. Jego formację intelektualną powierzył „podziemnemu kapłanowi” prof. Henrykowi Mosingowi, kształcącemu we Lwowie w zakonspirowany sposób kandydatów do stanu duchownego. – Ksiądz Mosing przyjeżdżał nielegalnie do Gródka, pomagał ks. Wanagsowi spowiadać, a w wolnym czasie uczył mnie przedmiotów przewidzianych w programie seminarium – wspomina ks. Andruszczyszyn. – Jeździłem też przez kilka lat do niego do Lwowa, gdzie razem z innymi kandydatami uczył nas w swoim pokoju w ścisłej tajemnicy teologii. Bardzo lubiłem te zajęcia. Ksiądz Mosing urzekał swoją miłością, prostotą i franciszkańskim duchem. Starałem się też dwukrotnie o dostanie się do seminarium w Rydze, ale władze odrzuciły moje podanie. By zostać wyświęconym, przy pomocy ks. Wanagsa wstąpiłem do podziemnego seminarium księży marianów na Litwie. W nim dokończyłem swoją formację i potajemnie zostałem wyświęcony na księdza nocą w zamkniętym kościele w miejscowości, w której nigdy wcześniej nie byłem. Święcenia przyjąłem z rąk biskupa Juliana Stepanoviciusa, który był wówczas internowany i nie mógł wykonywać obowiązków duszpasterskich. Po święceniach nie

od razu jednak wróciłem do Gródka. Gdzie indziej potrzeby były większe.

Do Gródka ks. Andruszczyszyn został skierowany w 1992 roku. Ksiądz Wanags tak bowiem rozwinął swoją działalność, korzystając z upadku komunizmu, że musiał mieć pomocnika. W 1989 roku, gdy formalnie Związek Sowiecki jeszcze istniał, postanowił zbudować obok świątyni dom parafialny. Zamierzał umieścić w nim „Dom Miłosierdzia" dla osób starszych i chorych z całej okolicy, a także stolarnię, kuchnię, pralnię i inne pomieszczenia potrzebne dla parafii. Nie pytając władz o zgodę, polecił wylać fundament wokół drewnianych szop. Nie miał nawet szczegółowego projektu. Miejscowi urzędnicy nie chcąc robić afery, dali mu zgodę na wzniesienie budynku jednopiętrowego, czyli parterowego. Ksiądz Wanags nie zamierzał się tym przejmować, gdy miał już plan, kazał wznosić piętro. Miejscowi urzędnicy wpadli w popłoch. Na miejsce przyjechała komisja z obwodu w asyście przedstawiciela z Moskwy. Ksiądz Wanags oświadczył jej jednak, że „w Polsce pierwsze piętro nazywa się parter". Komisja przyjęła to wyjaśnienie za dobrą monetę i kazała dokończyć budowę. Pierestrojka zaczynała docierać również na Podole. Budynek w 1991 roku był już gotowy, składał się z dwóch korpusów połączonych od frontu kaplicą. Znalazły się w nim wszystkie pomieszczenia przewidziane dla „Domu Miłosierdzia" i parafii. Gdy obiekt został wyposażony i zaczął zapełniać się lokatorami, ks. Wanags ujawnił, że będzie on służył jeszcze jednemu celowi. Zostanie w nim zlokalizowane Seminarium Duchowne Księży Marianów, w którym chłopcy z klas od ósmej do jedenastej będą przygotowywać się do służby Bogu. To posunięcie ks. Wanagsa było bardzo śmiałe, ale mocno osadzone w tutejszych realiach. Zarówno on, jak i jego poprzednik ks. Jan Olszański byli marianami i formowali gródecką parafię w mariańskim duchu. Kilku księży, którzy wyszli z Gródka, też wybrało mariańską drogę, w tym także biskup Jan Paweł Lenga.

Pomysł ks. Wanagsa zyskał aplauz gródeckiego środowiska. Do Małego Seminarium wstąpiło kilkunastu chętnych, głównie miejscowych ministrantów. Placówka miała swój porządek dnia i program nauczania. Już po kilku miesiącach trzech starszych chłopców wyraziło chęć zostania kapłanami. Ksiądz Wanags odwiózł ich do Nowicjatu Księży Marianów w Polsce. Zdając sobie sprawę, że jego poprzednik ks. Jan Olszański mianowany ordynariuszem odrodzonej diecezji kamieniecko-podolskiej chce założyć seminarium duchowne i nie ma gdzie tego zrobić, zaproponował mu zorganizowanie go w Gródku na bazie mariańskiej placówki. Chcąc maksymalnie pomóc swemu współbratu, zadeklarował też, że weźmie na siebie troskę o materialne funkcjonowanie uczelni. Zobowiązał się też do przeniesienia wszystkich pensjonariuszy „Domu Miłosierdzia" w inne miejsce, by klerycy mieli odpowiednie warunki do mieszkania i nauki. Pomimo nawału różnych obowiązków objął też funkcję dyrektora administracyjnego seminarium.

Oddając „Dom Miłosierdzia" na diecezjalną uczelnię, ks. Wanags nie zamierzał bynajmniej zrezygnować z budowy tego typu placówki. Wiedział, że jest ona koniecznie potrzebna, bo problem ludzi starych na wsi, pozbawionych wszelkiej opieki będzie systematycznie narastał. Swoim zwyczajem, nie pytając nikogo o zdanie, zaczął budować czteropiętrowy obiekt z prawdziwego zdarzenia. – Lokalne władze były przerażone jego kolejnym pomysłem – śmieje się ks. Andruszczyszyn. – Urzędnicy z Kijowa naciskali bowiem na tych w Chmielnickim, by zrobili z Wanagsem porządek. Ci zaś wzywali tych z Gródka i mówili – zatrzymajcie tego Wanagsa, bo on tu drugi Watykan zbuduje! Wanags nie bał się jednak niczego. Gdy „zaproszono" go na dywanik, by wytłumaczył władzy, dlaczego bez pozwolenia zaczął znowu coś budować, odpowiadał, że to nie on buduje, tylko Matka Boża. Gdy tamten zdenerwowany krzyczał, żeby nie robił z niego durnia, ks. Wanags spokojnie odpowiadał, że miał widzenie. We śnie ukazała mu się Matka Boża i nakazała mu budować to i to, on nic nie robi, tylko wykonuje Jej wolę. W latach dziewięćdziesiątych miał on kłopoty nie tylko z władzami, ale również z przełożonymi zakonnymi. Był przecież marianinem i nie mógł już w nowej sytuacji działać na własną rękę. Jego plany musiały być skoordynowane z wizją działania na Ukrainie całego zgromadzenia. Gdy generał marianów przyjechał do Gródka i zobaczył, że ks. Wanags zaczął budować „Dom Miłosierdzia", mało nie dostał zawału. Kategorycznie zabronił mu kontynuowania tej inwestycji i dał mu zdecydowane braterskie pouczenie, by powstrzymał swoje budowlane zapędy. Po ludzku rzecz biorąc miał rację. „Dom Miłosierdzia" zaplanowany był z rozmachem, a zgromadzenie organizowało cały szereg nowych parafii i wznosiło kościoły, co pochłaniało ogromne środki. Ówczesny generał obawiał się, że ks. Wanags rozpocznie inwestycję i z braku pieniędzy przyjdzie po wsparcie do niego, a on nie będzie w stanie go udzielić. Ksiądz Wanags był jednak uparty, prosił generała o zgodę na kontynuowanie budowy i mówił, że on nic od niego nie chce poza błogosławieństwem. Generał był jednak nieugięty. Ksiądz Wanags jeszcze na odjezdnym prosił go, by pozwolił mu budować. Ten machnął ręką, chcąc jakby wreszcie od niego się opędzić, ale ks. Wanags uznał ten gest za coś w rodzaju: „A buduj sobie". Gdy generał przyjechał na kolejną wizytację, ze zdumieniem skonstatował, że „Dom Miłosierdzia" nie tylko stoi, ale i funkcjonuje. Ksiądz Wanags nigdy nie przejmował się tym, co będzie jutro. Bezgranicznie ufał Matce Bożej, wierząc, że go nie opuści i jak trzeba dokona nawet cudu, żeby mu pomóc. Szczególną czcią otaczał św. Antoniego. Bardzo często modlił się przed jego Cudownym Wizerunkiem. Odmawiał Litanię do św. Antoniego, potrząsając poczwórnym dzwonkiem, by święty na pewno usłyszał. Gdy po modlitwie jechał załatwić jakąś sprawę i coś mu się nie udało, wpadał po powrocie do kościoła i krzyczał do wizerunku świętego: „Dlaczego mi nie pomogłeś?". Groził mu też: „Będziesz wisiał twarzą do ściany!", albo „Wyrzucę cię na strych". Szybko mu jednak przechodziło i potem św. Antoniego w dwójnasób przepraszał, leżąc przed nim krzyżem. Okazało się bowiem, że św. Antoni pomógł, tylko musiało trochę potrwać zanim przekonał myślących jeszcze po sowiecku urzędników.

cdn.

EPOKA ŻELAZA W EUROPIE

Michał Tadeusz K o z e r a

W poprzedniej części wspomnieliśmy o początkach pojawienia się żelaza w Europie – około X wieku p.n.e. Teraz czas na koczowniczy lud Scytów i co z tego wynikło dla Celtów. Zatem: EPOKA ŻELAZA W EUROPIE – część II

W 1985 roku ukazały się dwie interesujące książki dotyczące dziejów Polski w badaniach archeologicznych. Wydane zostały przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe. Jedną napisał Jerzy Gąssowski i nosi tytuł: Kultura pradziejowa na ziemiach Polski. Zarys. Drugą napisali Kazimierz Godłowski i Janusz K. Kozłowski i nosi tytuł: Historia starożytna ziem polskich. Obie są interesujące i ciekawe, ale obejmują tylko dzieje ziem położonych na terenie obecnej Polski. Czasami zawierają szerszy kontekst, ale dla mnie okazał się niewystarczający. Dlatego powstała seria niniejszych tekstów o epoce żelaza. Szczególnie, że niektóre problemy udało się przedstawić inaczej. A przynajmniej spojrzeć na nie w innym kontekście, bardziej urbanistycznym. Co z tego wynikło?

Zachęcamy do lektury. A osoby niezgadzające się z tezami autora zapraszam do polemiki na łamach Quod Libet.

SCYTOWIE, CELTOWIE

Powróćmy zatem do właściwej tematyki.

Przypomnijmy, że Scytowie to lud najprawdopodobniej pochodzenia irackiego lub irańskiego. Stamtąd przybyli i pierwszą bazę wypadową w Europie założyli na stepach rozciągających wzdłuż północnego brzegu Morza Czarnego – gdzieś od VII p.n.e. Dokładniej było to między dolnym Donem a deltą Dunaju. (rys. nr 3). Utworzyli tam silny związek plemienny, mający ścisłe kontakty z ludami greckimi. Stąd prowadzili wyprawy łupieżcze w głąb Europy.

Między innymi dotarli w głąb naszego kraju. Archeolodzy potwierdzili to chociażby w słynnym Biskupinie (nazwa dużo późniejsza, nie znamy starożytnej). Między innymi odnaleziono w drewnianych elementach obronnych grociki ich strzał.

Scytowie dokonali niezłego zamieszania. Tereny zajmowali zwykle „ogniem i mieczem". Jako lud koczowniczy nie zagrzewali na początku nigdzie miejsca. Dlatego też ich pojawienie się w Europie spowodowało powstawanie osad obronnych. Miejscowa ludność podjęła decyzję o walce przeciw Scytom. Nie wiemy tylko, kto w końcu zwyciężył. Archeolodzy twierdzą, że osady zostały po najeździe Scytów odbudowane. Głównym powodem zniszczenia osad miałyby być zmiany klimatyczne, w wyniku których osada w Biskupinie znalazła się pod wodą.

Zatem należy sądzić, że Scytowie dotarli co najmniej nad rzekę Odrę (musieli po drodze opanować środkowy bieg rzeki Wisły, a może nawet górny) i dolny bieg rzeki Dunaj. W tym ostatnim przypadku mogli zniszczyć wschodnie obszary wydobycia i obróbki żelaza w Siedmiogrodzie. Dotarli również do Mezopotamii w VI wieku p.n.e. (patrz rys. nr 2).

Z czasem osiedlali się na niektórych terenach. Podzieli się wówczas na Scytów królewskich (mających siedziby pomiędzy dolnym Dnieprem a dolnym Donem) i na Scytów rolników (zamieszkujących między dolnym Dnieprem a dolnym Bohem).

Nic nie trwa jednak wiecznie. Scytowie zostali zaatakowani w swoich głównych siedzibach przez plemiona sarmackie i trackie, co zmusiło ich do przenosin nad dolny Don i północną część Krymy (półwysep nad Morzem Czarnym – patrz rys. nr 2).

To im należy najprawdopodobniej przypisać powstawanie pierwszych kurhanów, czyli grobowców usypanych z ziemi. Nieraz o znacznych rozmiarach. Oni także, jako pierwsi wprowadzili palenie zwłok po śmierci, zamiast dotychczasowej formy chowania zmarłych. Zwyczaj ten przywieźli być może ze sobą. Palenie zwłok trwa do dzisiaj w Indiach.

W nowych siedzibach mieszkali co najmniej do I wieku n.e. Potem wywędrowali do Azji, gdzie koło jeziora Bałchasz, u podnóża gór Tien

Szan, założyli państwo Kuszan (patrz rys. nr 3).

<<< >>>

Ataki Scytów na Europę zmusiły zapewne Celtów do przemieszczenia się w kierunku zachodniej Europy. W tym mogło także pomóc Celtom posiadanie najnowocześniejszej broni żelaznej, która dawała im znaczną przewagę nad innymi ludami (głównie mieczy). Być może to właśnie Celtowie – po pierwszych niepowodzeniach – pokonali ostatecznie Scytów i zmusili ich do odwrotu na tereny koło Krymu?

Świadczy o tym rozwój osadnictwa celtyckiego w Europie. Zajęli oni najpierw tereny dzisiejszej Belgii, Anglii, Walii, Szkocji i Irlandii i terenów wzdłuż rzeki Rodan – w VI wieku p.n.e. Potem zdobyli tereny dzisiejszej Francji i Hiszpanii – w V wieku p.n.e. – oraz tereny nad Padem i obszary w środkowej części dzisiejszych Włoch – w V-IV wieku p.n.e. Potem – zapewne wzdłuż szlaku bursztynowego (lub wcześniej tą samą drogą idąc od swych pierwotnych siedzib – tu brak jednoznacznego stanowiska archeologów) – dotarli do naszych ziem. Dokładniej zajęli tereny nad górną i środkową Odrą oraz górną i środkową Wisłą docierając nawet do górnego Dniestru (patrz rys. nr 2).

Niektóre z plemion dotarły nawet do Azji Mniejszej, gdzie powstało ich osadnictwo na dawnym terytorium Hetytów, nad rzeką obecnie znaną pod nazwą Kyzył Imak. To państewko – znane pod nazwą Galacja – zostało przez nich opanowane w 277 roku p.n.e. (istniało do 188 roku p.n.e., kiedy przeszło pod panowanie Rzymu). Przypuszczam, że dotarli jedną ze wskazanych na mapie dróg: lądową (rzeka Dunaj, góry Dynarskie, półwysep Bałkański, południowe wybrzeże Morza Czarnego) lub morską (rzeka Dunaj, Morze Czarne).

Wybór Galacji nie był przypadkowy. Tutaj mieściły się duże złoża rudy żelaza. Znane jeszcze z czasów Hetytów – jednego z najstarszych ludów wykorzystujących ten metal.

Taki rozwój osadnictwa Celtów musiał przyczynić się do rozwoju szlaków handlowych. Do już istniejącego szlaku bursztynowego doszły kolejne.

Jeden najprawdopodobniej biegł od Cieśniny Kaletańskiej wzdłuż Sekwany (może także Loary), Rodanu do portu w Marsylii (portu znanego jeszcze z czasów kolonizacji greckiej) – z dalszą kontynuacją na południe do dzisiejszej Hiszpanii, wzdłuż wybrzeży Morza Śródziemnego. Należy podejrzewać, że miał on swoją kontynuację na wyspach brytyjskich, zapewne wzdłuż brzegów Morza Północnego z przeprawą do Irlandii kanałem Północnym, w okolicach dzisiejszego Belfastu.

Drugi został poprowadzony wzdłuż rzeki Dunaj łącząc dwa trakty handlowe – wspomniane wyżej. Mógł jeszcze teoretycznie istnieć szlak wodny przez Morze Adriatyckie, Morze Jońskie, Morze Egejskie do Morza Czarnego. Szczególnie w okresach wyłączenia dolnego odcinka Dunaju podczas ewentualnych konfliktów z innymi ludami.

Przypomnijmy również, że między I wiekiem p.n.e., a I wiekiem n.e., na naszych obecnych ziemiach Polski powstały dymarki, gdzie wytapiano żelazo. Znamy takowe z obszarów Wyżyny Świętokrzyskiej czy Warszawy, a nawet mniejsze z okolic Krakowa. Było to jedno z największych, znanych nam obecnie zagłębi produkcji żelaza w Europie. Tu prawdopodobnie powstało – używając języka współczesnego – największe centrum zbrojeniowe Europy. Wytwarzana tam broń mogła służyć do dalszych ataków przeciw Scytom. A może po ich pokonaniu wytwarzano tutaj ostrza do pługów nowego typu? Wszak osadnictwo celtyckie zajęło spore obszary Europy, a nawet wojsko musi jeść. Od czasu do czasu.

P.S. **Ludy zamieszkujące w tamtym czasie dzisiejszą Polskę nie były Słowianami i nie miały z nimi kompletnie nic wspólnego. Słowian jeszcze nie było nawet w Europie. Być może mieszkali już**

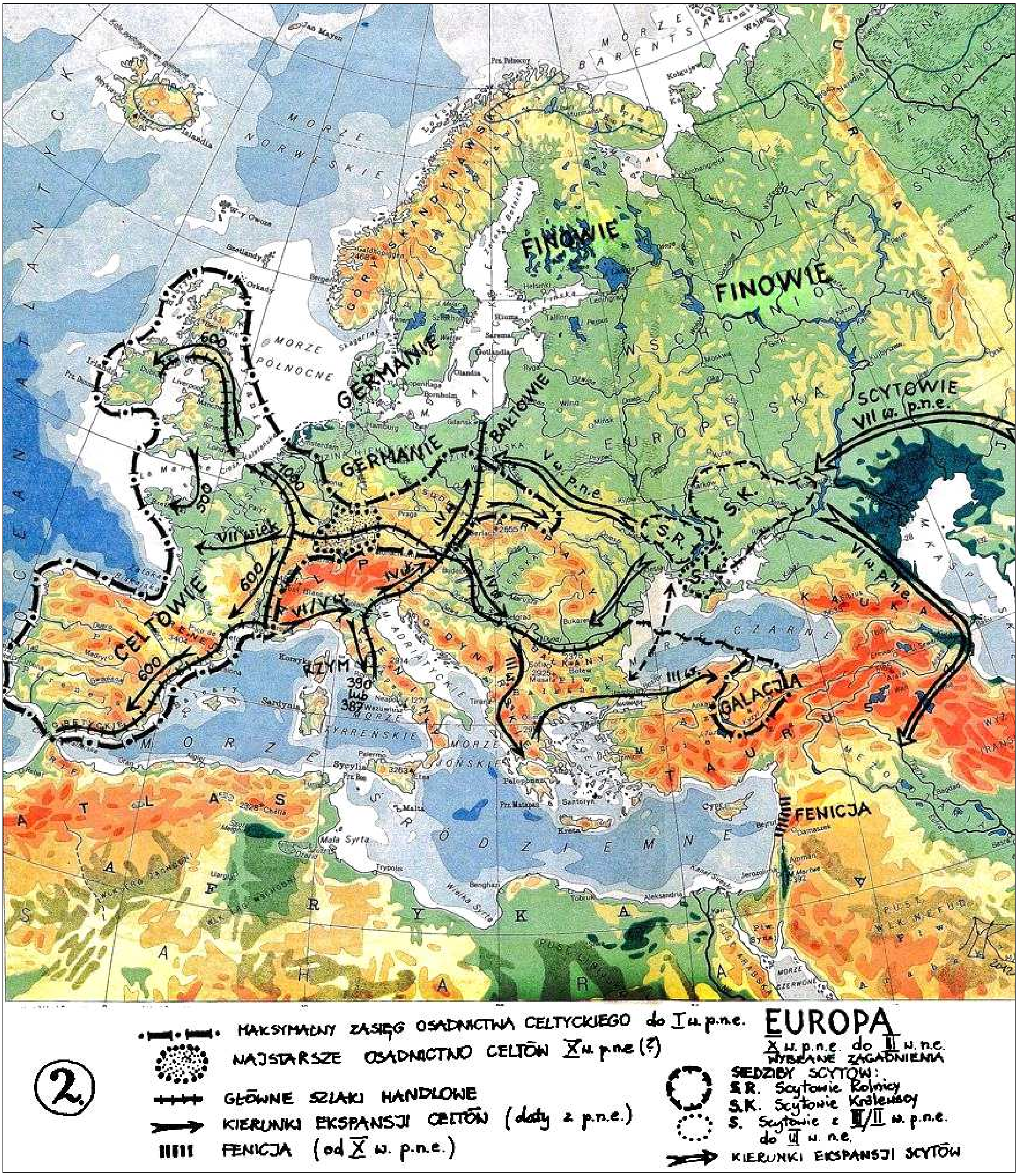


Rekonstrukcja pieców do wytopu żelaza, tzw. Dymarek (Muzeum w Nowej Słupii)

w Azji, ale brak jest w tej kwestii danych archeologicznych.

Dzisiaj nawet wydaje się śmieszne uznawanie tak zwanej archeologicznej kultury łużyckiej za słowiańską (to z tego okresu pochodzi między innymi wspomniany wcześniej Biskupin). Wiadomo tylko na pewno, że ta kultura została podbita przez Celtów. Dwa typy pochówków wskazują przy tym, że obie kultury ostatecznie zasymilowały się ze sobą. Chociaż występujący kanibalizm wśród tych pierwszych, starszych mieszkańców nie świadczy najlepiej o tamtejszych ludziach. Chyba, że był efektem głodu powstałego podczas walk ze Scytami czy potem z Celtami. Taki uboczny skutek wojen.

I jeszcze jedna ciekawostka. W słynnej powieści Henryka Sienkiewicza pojawia się księżniczka lugijska i opiekujący się nią Ursus. Nie jest to przypadek. Tereny nad górną i środkowa Odrą oraz nad górną Wisłą zamieszkiwało celtyckie plemię Lugów. Potwierdzają to opisy tych ziem geografów rzymskich. Chociaż o przynależności tych terenów do tego plemienia celtyckiego bardziej



wskazały dopiero badania archeologiczne.

Skąd o tym wiedział Henryk Sienkiewicz, skoro badania archeologiczne przeprowadzono dopiero po II wojnie światowej?

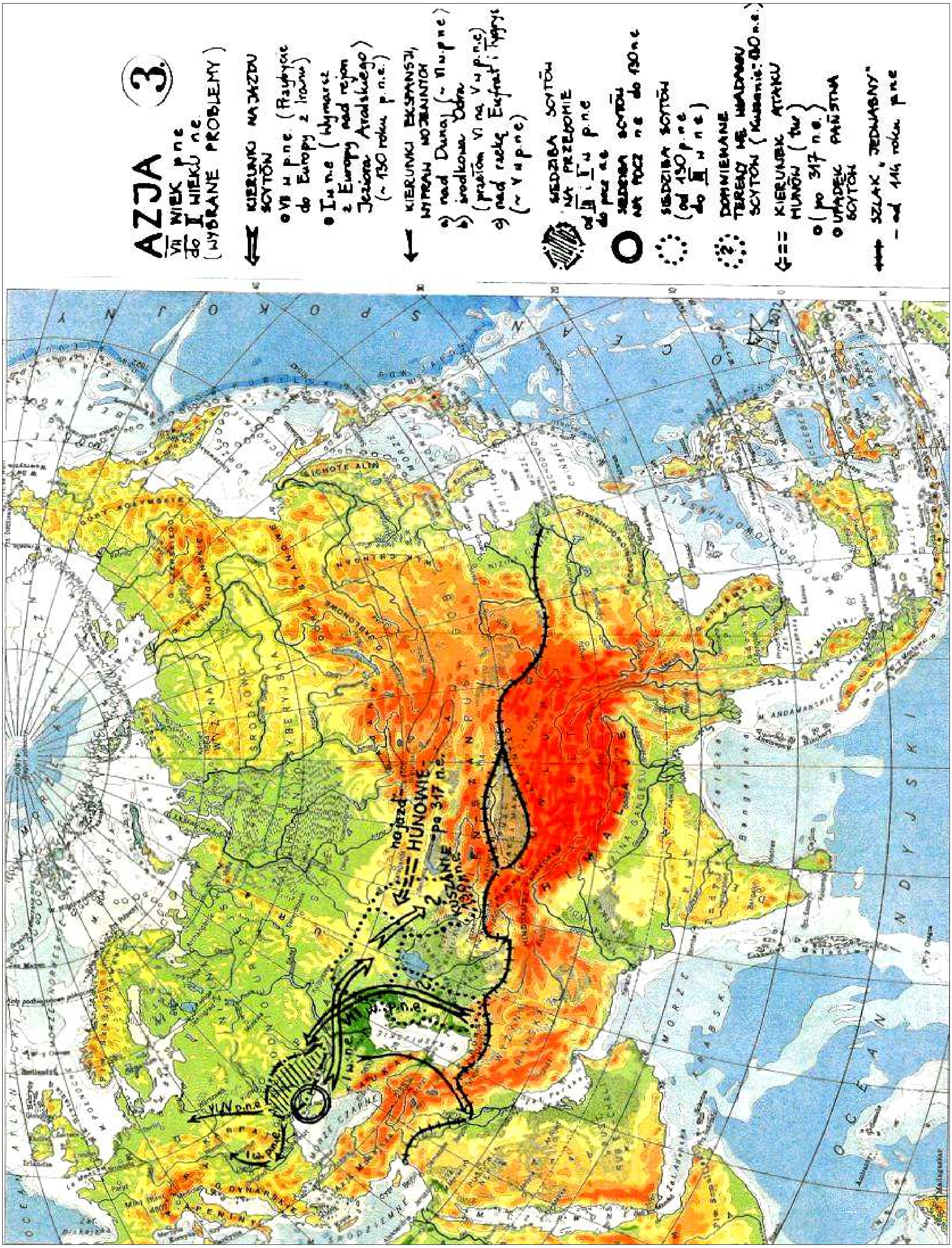
Skąd wiedział, że nie jest ona Słowianką, co zapewne badacze powojenni chętnie by jej przypisali? To naprawdę wiemy dopiero od lat osiemdziesiątych XX wieku.

Intuicja. Dobre wykształcenie klasyczne, zapomniane po wojnie?

W kolejnej części: **Rzym – kolejna potęga w Europie**

Kraków, styczeń 2012 roku

cdn.





Emil Palej

NOTATKI Z MEGO ŻYCIA

cd.

Wiosną 1943 roku następuje pierwsza wsypa. Jan Dziuba, dowódca drużyny Jaworów-Przedmieście, pracownik telekomunikacyjny na poczcie w Jaworowie, był z czterema innymi pracownikami we wsi Rogożno przy zakładaniu nowych słupów i drutów telefonicznych. W pięciu wracali po pracy do Jaworowa, 8 kilometrów. Dziuba nie zauważył, że za nimi idzie dwóch policjantów ukraińskich. W żarcie kichnął parę razy i to dość głośno. Policjanci przystąpili do nich pytając, kto tak kichnął i komu śmierdzi mundur policji. Dziuba odpowiedział, że to on dla żartu kichnął. Wtedy policjanci kazali mu dać ręce do tyłu i trzy kroki maszerować naprzód. Po zaprowadzeniu całej piątki na posterunek w Rogożnie trzech Ukraińców z miejsca zwolniono, zaś u obydwóch Polaków przeprowadzono bardzo szczegółową rewizję. Jan Dziuba miał przy sobie rotę ślubowania, jakoś niezręcznie wyciągnął, by ją połknąć, co zauważył policjant ukraiński, wyrwał mu ją i przeczytał. Obydwu Polaków trzymano całą noc na posterunku, zaś rano zabrano do Jaworowa do Komendy Powiatowej policji niemieckiej. Po dwóch dniach Polaka starszego wiekiem wypuszczono, zaś Dziubę dalej trzymano w areszcie. Przez dwa dni nie dano mu ani kromeczki chleba, ani też wody do picia. Po aresztowaniu Dziuby ogarnął nas wielki strach. Myśleliśmy, że wsypa na całego, co pociągnie za sobą zatrzymanie więcej osób. Natychmiast wysłałem kurierkę z meldunkiem o tym wypadku. Wydano mi rozkaz, by być przygotowanym na wszystko, zachować czujność i ostrożność. Na usilne starania Krasickiego, za pośrednictwem Edwarda Szpilki – właściciela drukarni , który żył w dobrej komitywie z komendantem powiatowym – Austriakiem (często popijali), zezwolono jego żonie podać Dziubie żywność i bieliznę. Żonę Dziuby proszono, by mu powiedziała, aby się nie przyznawał do niczego, pomimo nawet tortur, bo zdradzi innych, też swego brata, który też jest w konspiracji. W pierwszych słowach zamienionych z żoną powiedział: „Przekaż Stawidle (dowódca jego plutonu), niech się nie boją, niech będą pewni, że nie wydam nikogo, choćbym nawet miał zginąć. Już mnie nie biją, nie przyznaję się do niczego. Mówię, że kartkę tę znalazłem na drodze i nie rozumiem, co ona znaczy.” Krasicki wszelkimi siłami starał się pomóc rodzinie Dziuby. Zebraliśmy spośród siebie fundusze, które jako pomoc z Polskiego Komitetu Opiekuńczego wręczył żonie Dziuby sam Krasicki. Po tygodniu otrzymałem ze Lwowa płyn chemiczny i piłeczkę do przepiłowania krat, ażeby podać Dziubie w jakiś sposób. W żadnym wypadku nie wolno go odbić siłą, bo może się nie udać, co przyniosłoby straszne skutki. Po naradzie z moim sztabem postanowiliśmy pilnie śledzić przewożenie Dziuby na gestapo do Lwowa. Trzeba go za wszelką cenę odbić. O wypuszczeniu go przez Niemców na wolność nie było mowy. O to, że nie zdradzi, byliśmy spokojni, ponieważ zapewniał o tym swoją żonę, która dwa – trzy razy w tygodniu odwiedzała go. Edward Szpilka niejednokrotnie poruszał sprawę Dziuby w rozmowach z komendantem powiatowym, że ten człowiek jest niewinny i Powiatowa Komenda Policji powinna go wypuścić. Austriak oznajmił mu, że na razie nie ma mowy, ponieważ Ukraińcy, a zwłaszcza policja ukraińska twierdzi, że na terenie Jaworowa jest organizacja konspiracyjna. Edward Szpilka, nasz członek i serdeczny kolega Krasickiego, wpadł na pomysł, aby kupić świnię, zabić i dać komendantowi policji jako prezent. Tak się też i stało. Zaznaczam, że w tym czasie Niemcy w Jaworowie sami cichaczem kupowali słoninę, masło i inne artykuły żywnościowe, odsyłając pocztą do swych rodzin. Dziuba przez trzy miesiące siedział w areszcie powiatowym, z czego byliśmy zadowoleni i przestaliśmy się obawiać. Otrzymany płyn i piłeczka nie zdały egzaminu, a my czekaliśmy na zwolnienie Dziuby lub odbicie go w czasie transportu. W miesiącu czerwcu lub lipcu, w nocy zostaje Dziuba wywieziony do Lwowa przez gestapo. Jak się dowiedziałem, do Jaworowa przyjechało gestapo ze Lwowa na kontrolę i po tej kontroli w nocy zabrano Dziubę. Po zabraniu go do Lwowa jego żona już się z nim nie widziała.

Latem tego roku Niemcy likwidują getto. Wywożą w las ludność żydowską i tam ją mordują, zaś całe getto palą. W czasie wywożenia Żydów z getta w całym mieście powstał wielki strach. Polacy nie wychodzili z domów, płakali, podobnie jak niektórzy Ukraińcy nie nacjonaliści. Widziałem na własne oczy przez okno z domu, jak szosą w kierunku Krakowca wywieźli Niemcy samochodami biednych i nieszczęśliwych ludzi, wynędzniałych i głodnych. Biedne dzieci i starsi machali rękami przed każdym polskim domem. Moi synowie zaczęli płakać, a starszy 12-letni syn Eugeniusz woła: „Ornek!”, kiwa rękami, jego matka też: „Już mu nie podam chleba, kartofli”. Orn chodził z Eugeniuszem do jednej klasy – kolega szkolny. Sam się rozpłakałem, zacząłem głośno bluźnić, że Boga nie ma, bo jakby był, to by do tego nie dopuścił itp. Ludność polska była zrozpaczona, obawiając się, że i nas to samo spotka. Tego dnia wieczorem poszedłem do Krasickiego. Był bardzo podenerwowany. Krasicka leżała

w łóżku – z tego zdenerwowania zachorowała. Zamieniliśmy parę słów na ten temat i wróciłem do domu zupełnie załamany. Na drugi dzień do pracy nie poszedłem, ponieważ chciałem coś się dowiedzieć więcej i wysłać kurierkę z meldunkiem o likwidacji getta. Niemcy spędzili ludność na pogorzelisko getta w celu robienia porządku. W tym czasie odbywała się odprawa we Lwowie, gdzie podano nam do wiadomości, że bandy ukraińskie coraz więcej mordują Polaków na terenie Wołynia, woj. tarnopolskiego i stanisławowskiego. Należy być dobrze przygotowanym do samoobrony. Broni jeszcze ciągle brakuje. Ku ogólnej radości dowiedzieliśmy się, że w Związku Radzieckim tworzy się duża armia polska pod dowództwem generałów i oficerów polskich. To nam dodało otuchy i nadziei. Latem, jednej niedzieli po południu, byłem u lekarza weterynarii Fedorowskiego, gdzie graliśmy w bridża. W tym czasie dały się słyszeć dalekie wybuchy. Wyszliśmy na ulicę, skąd dokładnie było widać, jak kilkanaście bombowców pikowało nad lasem janowskim i zrzucało bomby. Ogromne lasy janowskie – Wereszyca, Starzyska, ciągną się kilkanaście kilometrów aż po Żółkiew. Od Jaworowa do lasów janowskich w prostej linii około 15 km. Jak się później okazało, to Niemcy wykryli w tych lasach bardzo silną partyzancką grupę sowiecką Kowpaka. W tym dniu Niemcy bombardowali ten las ze dwie godziny. To nam dodało otuchy. Od tego czasu szosą Jaworów – Lwów transporty niemieckie jeździły tylko w dzień. Nocą w ogóle nie puszczano żadnych transportów. Ludność wiosek przylegających do tych lasów głośno mówiła, że w lasach jest wojsko sowieckie, przychodzą nawet czasami do wsi, rozmawiają z ludnością, są bardzo uprzejmi, nic nie chcą i nic nie biorą. Bydła, które pasie się pod lasem, nie zabierają. Niemcy, oprócz kilkakrotnych bombardowań, nie zapuszczali się w las ani też nie używali swojej artylerii. O tym powiadomiono nas na jednej z odpraw. Tej samej jesieni 1943 roku, w miesiącu październiku, przyszedł do mnie Stanisław Krasicki. Od razu zauważyłem, że jest bardzo zdenerwowany. Zapytał mnie, czy jest jeszcze ktoś w domu. Odpowiedziałem, że żona moja i synowie poszli do brata żony. Krasicki usiadł i cichym, drżącym głosem powiedział: „Emilu, stało się wielkie nieszczęście. Janka zamordowali Niemcy. Mój syn już nie żyje"[1]. W pierwszej chwili starałem się go uspokoić, że to może nieprawda, lecz Krasicki odpowiedział mi, że otrzymał przed godziną list od rodziny z Warszawy i co ma teraz z tym zrobić. Zapytałem go, czy żona jego już wie o tym. Odpowiedział, że jeszcze nie wie. Powiedziałem mu, ażeby na razie trzymał to w tajemnicy, ponieważ żona jego choruje na serce i wiadomość o zamordowaniu Janka może ją w jednej chwili pozbawić życia. Krasicki powiedział, że może się tak stać, że ona bardzo kochała Janka, że to jej najmilszy syn. Po tej rozmowie odprowadziłem go do domu. Tam bardzo mało rozmawialiśmy, ponieważ myśleliśmy tylko o tym morderstwie. Po pożegnaniu się Krasicki prosił mnie, abym zachował to w tajemnicy. Od tego czasu Krasicki stał się bardzo ponury, lecz pracy konspiracyjnej poświęcał się jeszcze więcej. Do czasu wyjazdu Krasickiego z Jaworowa do Warszawy jego żona nie wiedziała o zamordowaniu syna.

W miesiącu wrześniu lub październiku 1943 r. wezwał mnie telefonicznie z Ożomli do Jaworowa w sprawach służbowych lekarz Fedorowski. Po otrzymaniu wezwania natychmiast udałem się rowerem do lecznicy weterynaryjnej w Jaworowie. Zastałem tam lekarza Fedorowskiego, który kazał mi iść do niego do domu, a on zaraz też przyjdzie i da mi lekarstwa otrzymane ze Lwowa. Pół godziny później byłem już u Fedorowskiego, który oświadczył mi, że Dziuba jest na wolności, ale jest ranny i właśnie dzisiaj rano był u niego, by go opatrzyć. Na razie mu nic nie grozi, jest tylko pokaleczony. Dziuba jechał, z kilkoma jeszcze więźniami, ze Lwowa do obozu pociągiem, w zamkniętym wagonie towarowym. Przez drogę wydłubali dziurę w podłodze i wszyscy w nocy pojedynczo pouciekali. Dziuba ma pokaleczone kolana, głowę i ręce. Jest dobrze ukryty u jednego Polaka (członka jego drużyny). Ze względu na to, żeby go nie zdradzić, sam Fedorowski będzie robił mu opatrunki, niby dojeżdżając do chorej krowy. Porozmawialiśmy o tym dość szczegółowo, powiedziałem, że trzeba mu dać jakąś pomoc. Żona Jana Dziuby, bardzo odważna i mądra kobieta, powiedziała lekarzowi Fedorowskiemu, że jak tylko mąż się podleczy, to odwiezie go do swoich krewnych (rolników) koło Rzeszowa i tam on będzie bezpieczny. I tak się stało. Po trzech tygodniach Dziuba w nocy uciekł z żoną do rodziny i tam pozostał. Policja ukraińska i niemiecka kilkakrotnie szukały Dziuby, ale nikt nic nie wiedział o nim. Ten dzień był dla mnie szczęśliwy. Otrzymałem meldunek od Romana Tworzydło, dowódcy II plutonu z Krakowca, że Marek, nowo przybyły partyzant z Pyszówki, oddaje dwa ckm i około 5000 sztuk amunicji nataśmowej, schowane jeszcze od 1939 r., a pozostawione przez kawalerię polską; oddaje też 11 sztuk kbk mauser i 500 sztuk amunicji. Ponieważ wieś – czysto polska, sami koloniści z Krakowskiego, licząca około 40 gospodarstw rolnych – znajdowała się pod lasem, otoczona ukraińskimi wioskami: Prudno, Rogożno, Gnojnice, zaproponowałem dowódcy plutonu, pseudonim „Wulkan", ażeby tę broń w całości pozostawił w Pyszówce. Ciągle dochodziły wieści o mordowaniu Polaków na kresach wschodnich, więc staraliśmy się przygotować jak najlepszą samoobronę. W tym czasie Niemcy ponosili klęski na Wschodzie, pod Stalingradem. Na jednej z odpraw w Gródku Jagiellońskim podano nam do wiadomości, że w wielkiej bitwie pod Lenino bierze udział u boku Armii Radzieckiej Wojsko Polskie. Na Zachodzie alianci biją Niemców

[1] Janek Krasicki (1919-1943) działacz komunistyczny.

ze wszystkich stron. Zwycięstwo nad Niemcami jest pewne, i to w krótkim czasie. Trzeba przygotować się do samoobrony i dywersji. To nas podniosło na duchu, że hitlerowskie Niemcy zostaną rozbite, a my otrzymamy z powrotem utraconą Polskę.

W tym czasie nacjonaliści ukraińscy zaczęli na dobre dokuczać Polakom. Doszło do nas, że na terenie powiatu jaworowskiego znajduje się silna podziemna organizacja ukraińska. Dało się zauważyć, że młodzi Ukraińcy nacjonaliści znikali z terenu powiatu Jaworów, co znaczyło, że gdzieś się grupują w organizacji podziemnej. Ja pracowałem nadal w Ożomli i często bywałem w Jaworowie. Stanisław Krasicki poświęcał się cały pracy konspiracyjnej i w Polskim Komitecie Opiekuńczym, starając się o fundusze, by pomóc biednym, chorym oraz polskiej młodzieży w „Baudinście”[2]. Na jednej z odpraw zgłosiłem, że jesteśmy na tropie ukraińskiej organizacji i że staramy się wszelkimi siłami odkryć ją. To samo potwierdzili dowódcy obwodów: Rudek, Komarna, Janowa, Gródka Jagiellońskiego i inni. Otrzymaliśmy w tym dniu rozkaz, ażeby bardzo ostrożnie wykryć organizację ukraińską i natychmiast meldować. Z drugiej strony mieć się na baczności, ponieważ Ukraińcy robią to samo i śledzą każdy nasz krok. Folksdojcze sowieccy w Ożomli zaprzyjaźnili się ze mną, zapraszali mnie dość często do siebie do domu, na herbatę, kieliszek wódki; rozmawialiśmy po rosyjsku. Przyznać trzeba, że byli to poczciwi ludzie. Połowa z nich to kobiety z dziećmi i bez mężów, ponieważ ich mężowie byli w armii sowieckiej. Reszta to starsi mężczyźni, inwalidzi lub chorowici. Za moją pracę dla nich korzystałem z ich specjalnego sklepu. Sołtysem (Siedlungsführer) był podoficer inwalida – Austriak, młody człowiek, bardzo energiczny, nie lubił Ukraińców. Na każde jego wezwanie natychmiast przychodziłem. Bardzo często wzywano mnie do byle czego. Mówiłem, że zwierzę jest poważnie chore (a było zdrowe), ale ja wszystko zrobię i na pewno będzie zdrowe – i tak było. Uważali mnie za najlepszego fachowca, który się poświęca dla nich. Jednego razu powiedziałem, że we Lwowie mam znajomego aptekarza i mogę od niego dostać takie leki, jakich u nas w aptece nie ma, tylko że trzeba mieć przepustkę na jazdę pociągiem. Siedlungsführer (sołtys) oświadczył mi, że ile tylko będę potrzebował, to on mi da taką przepustkę, że jadę po lekarstwa dla ich żywego inwentarza. Przepustki były ostemplowane i podpisane in blanco przez Landkommissar[3] Sądowa Wisznia. Sołtys je wypełniał, a ja śmiało jechałem. Jednego razu w czasie łapanki, kiedy wracałem z odprawy na dworzec we Lwowie, zostałem z innymi ludźmi też okrążony przez Niemców i złapany, lecz po okazaniu przepustki z miejsca mnie puszczono. Późną już jesienią 1943 r. folksdojcze otrzymali broń, tj. karabiny, granaty i amunicję oraz jeden ckm. Sołtys zaczął ćwiczyć wszystkich mężczyzn. Powiedział mi, że w tych okolicach znajdują się różne bandy sowieckie, ukraińskie i polskie. Kierowniczką magazynu sklepu specjalnego tylko dla folksdojczów była kobieta z Krymu licząca około 35 lat, z zawodu nauczycielka. Była matką dwóch małoletnich córek; mąż jej służył w wojsku sowieckim. Często zapraszała mnie na herbatę i mogłem zawsze kupić coś ze sklepu. Pięknie grała na mandolinie. Miała dobry odbiornik radiowy i często słuchaliśmy audycji ze Związku Radzieckiego, ja zaś słuchałem wiadomości z Anglii. Byłem dobrze zorientowany w sytuacji wojennej; radiowe informacje przekazywałem swoim. Po pewnym czasie żona moja zaczęła mnie na dobre podejrzewać o miłostki z tą kierowniczką, tak że mimowoli starałem się rzadziej chodzić na herbatkę, a jeśli już, to przy większej tajemnicy. Jak wynikało z jej słów i szczerości wobec mnie, nie bardzo była zadowolona ze swojego folksdojczerstwa. Wierzyła, że wróci z powrotem do swoich. Pomimo tego, że żyliśmy w przyjaźni, byłem bardzo ostrożny w stosunku do niej. Ponieważ często udawała się po towar do magazynu w Jaworowie, jechaliśmy razem bez żadnej kontroli policyjnej, wobec czego mogłem śmiało wieźć prasę konspiracyjną, uzyskaną amunicję itp.

W tym czasie oficer łączności „Korab” (Marian Adaszyński) nawiązał kontakt z jednym Czechem pracującym w wojskowych warsztatach naprawczych w Jaworowie i kupował od niego amunicję do pistoletów 9 mm, kbk, a nawet kupił pięć – sześć automatów. Czech był łakomy na pieniądze, a my na broń. „Korab” tłumaczył mu, że broń jest mu potrzebna i jego rodzinie do samoobrony przed bandami ukraińskimi. Kupić można było, tylko brakowało pieniędzy. O kupnie amunicji i broni meldowałem swoim przełożonym. Ze względu na to, że bandy ukraińskie zaczęły robić coraz więcej napadów na Polaków województwa wołyńskiego, tarnopolskiego, stanisławowskiego i częściowo lwowskiego, na jednej z odpraw obwodu postanowiliśmy wzmóc jeszcze bardziej czujność i tam, gdzie jest we wiosce małe skupisko Polaków, w pierwszym rzędzie zaopatrzyć naszych ludzi w broń, amunicję i granaty do samoobrony. W każdej wiosce z polskimi rodzinami była już organizacja podziemna posiadająca broń i amunicję.

W tym czasie zmieniam kurierkę, by nie dać jakiegoś podejrzenia z powodu jej dość częstych wyjazdów. Na kurierkę powołałem Lodkę Tuczapską, mężatkę, nauczycielkę w Jaworowie. Była to dzielna i mądra kobieta. Z pracy wywiązywała się doskonale. Wyjazdy były Lodce na rękę, ponieważ miała rodzeństwo we Lwowie; poza tym – z tego powodu jej lwowskie wyprawy nie wzbudzały podejrzeń.

---

[2] Baudienst (*niem.* służba budowlana) – w Generalnym Gubernatorstwie rodzaj pracy przymusowej dla Polaków i Ukraińców.

[3] Landkommissar (*niem.* komisarz wiejski) – cywilny urzędnik stojący na czele gminy.

MISCELLANEA
ab imo pectore

Zenon Rogala

WIOSNA

Już z oddali słychać było ten dziwny i nawet dość niepokojący dźwięk. Ni to warkot, ni jakieś niesprecyzowane buczenie, ale też jakieś inne, jakieś nietypowe. Najdziwniejsze, że stawało się coraz bardziej natarczywe. Coraz bardziej wyraźnie słyszane od strony tego świeżo rozkopanego kopczyka świeżej ziemi. Tak, już wreszcie są, już widać ich w nieregularnym szyku zwiadowczym, charakterystycznym dla tej formacji, wykonywanym pozornie nieskoordynowanymi zygzakami, tuż nad ziemią. Wpierw słyszę coraz głośniej donośny warkot organicznych silników, a teraz już widzę coraz wyraźniej pojedyncze skrzydlate pojazdy, całą eskadrę złożoną z trzech pasiastych trzmieli patrolujących teren. Ich zadaniem jest zameldowanie do bazy, czy te rozsiewane wokół plotki, że zima trzymać się będzie tego roku mocniej niż zwykle i nie dopuści do startu tych najtwardszogłowych, czyli przebiśniegów, i czy to prawda, że coraz bardziej natarczywe dowody faktycznie mają miejsce, że ta poranna rosa, która po nocy zostaje na ledwo widocznych źdźbłach trawy i innych roślinach, to faktycznie poranna rosa, czy jakieś inne drobiny wody powstałe z niewiadomego źródła. Buczące pojazdy nadziemne mają też inne zadania. Muszą sprawdzić i zameldować do bazy, dokładnie sprawdzić, czy te plamki kolorowe, rozsiane wokół, są pochodzenia naturalnego, czy są specjalnie podrzucone przez agentów wielkiej dezorientacji i mają na celu opóźnienie gotowości bojowej do zapylania wszelkiego kwiecia. Na ten komunikat czekają wielkie armie owadów, pobratymców skrzydlatego patrolu, stąd taka staranność i precyzja w penetracji terenu. Na tym latającym i buczącym patrolu spoczywa wielka odpowiedzialność. Ich komunikaty przerabiane będą przez Centralę na rozkazy do odległych pułków, armii wielkich latających flotylli, skrzydlatych żołnierzy dobrej sprawy, którzy już czekają uzbrojeni na wykonanie swego życiowego zadania.

Patrzę na pozornie chaotyczny lot tej trójki, niby zbliżają się do mnie, niby to lekceważą moją obecność, ale nagle dzięki najnowocześniejszej aparaturze przekaźnikowej słyszę komunikat dowódcy eskadry składany do centrali:

- Tu Pierwszy, tu Pierwszy, widzę obiekt, nie reaguje na nas, pozostaje w natarczywej obserwacji, czekam na rozkazy, czy mamy atakować – odbiór!

- Tu Centrala – obiekt ignorować, ale mieć się na baczności, atakować w ostateczności, choć i tak nie macie szans. Z przedstawicielami tego obiektu indywidualnie nie mamy żadnych szans, niech tak zostanie. Przez to usypiamy ich czujność, bo i tak w bilansie możliwego konfliktu to my, owady, mamy zawsze zwycięstwo, a to, że zginą nasze jednostki, nie ma dla sprawy wielkiego znaczenia – powrócić do wykonywania zadania. Bez odbioru!

Zamarłem, ale jednocześnie poczułem dumę i wielką satysfakcję, bo przekonałem się, że aby zrozumieć cały odwieczny porządek świata, wystarczy dobrze wsłuchać się w komunikaty płynące od najmniejszych źdźbełek naszego świata do istniejącej gdzieś Centrali.

PORZĄDEK

Już od pierwszych dni wojny wszystko wyglądało inaczej. Mama, zanim wyszła z domu, uważnie rozglądała się, a to w górę drogi, żeby sprawdzić czy jakiś pędzący pojazd wojskowy nie jedzie do miasta, to w dół drogi, żeby sprawdzić, czy nie idą od strony miasta ci w skórzanych płaszczach, z pałkami w rękach. Z początku nikt nie wiedział o co ta cała awantura, dopiero kiedy nasi otrzymywali od skórzanych ciężkie lanie, dopiero wtedy było jasne, aby weszli na pobocze drogi. Dopiero kiedy weszli na pobocze, było im darowane naruszanie dotąd nieznanych u nas przepisów drogowych. Niemcy zganiali na pobocza wszystkich ze środka jezdni.

Okazało się to nawet potrzebne i słuszne, bo drogą często pędziły samochody z żołnierzami, duże pojazdy z żelaza, a nawet czołgi z lufami odwróconymi do tyłu jazdy. Droga ma być dla pojazdów, chodniki i pobocza – dla pieszych.

Mówili, że za kaplicą przy skrzyżowaniu czołg przejechał Stefka od Malawów, bo nie zdążył uciec na zakręcie. Może to dlatego tak nas zganiali z drogi. Mama umiała po niemiecku i czasami słyszałem jak o coś pytała albo odpowiadała komuś w tym nieznanym mi języku. Dzisiaj idziemy z praniem. Oddać pranie. Mama dostała pracę i prała jakieś niemieckie koszule. Ojciec poszedł na wojnę i żadnej wieści od niego nie było. Utrzymanie domu, nakarmienie dzieci, wszystko spadło na wątłe plecy mamy. Kiedy więc jadący drogą oficer zobaczył wiszące w ogrodzie pieluchy i całe pranie z czwórki dzieci, zapytał czy mama zgodzi się prać jego bieliznę, koszule i jakieś inne osobiste rzeczy. Mama co tydzień zanosiła do tego budynku, w którym pracował, gotowe pranie. Za to dostawała codziennie do bańki na mleko zupę dla całej rodziny.

Dzisiaj idziemy z praniem. Mama z dużą paczką, zawiązaną w prześcieradło, a ja z pustą bańką, wiadomo po co.

Ale nagle zmiana trasy, bo wchodzimy przez otwartą bramę na obszerny dziedziniec, gdzie na środku leży wielka sterta papierowych śmieci. Ale nie tylko, są też całkiem duże, wielkie arkusze szarego papieru, w który mama będzie pakować wszystkie przyszłe paczki z wyprasowanymi koszulami. Ja trzymam paczkę z praniem, a mama wybiera co większe arkusze. Nagle mama rzuca na ziemię wybrane, najlepsze arkusze i biegnie do mnie, obłapia i przytula do siebie. Wokół nas stoi wianuszek zielonych mundurów, jak w czasie zabawy - chodzi lis koło drogi, - ale w rękach nie mają jak w piosence pytki do bicia, ale prawdziwe karabiny. I już zaczynają nas spychać do ciemnych drzwi budynku, gdy słyszę drżący, ale stanowczy głos mamy. Nic nie rozumiem co mówi, ale nagle opuszczają swoje karabiny, a ich dowódca, do którego mama mówiła podniesionym głosem, podchodzi, salutuje mamie i pokazuje drogę wyjścia.

– Powiedziałam mu, że gdyby mieli porządek, to na bramie byłby napis „Nur für Deutsche", jak w tramwajach. Ponieważ napisu nie było, mogliśmy tam wejść. Przyznał mi rację i przeprosił. Po niemiecku – Ordnung, po polsku – porządek, zapamiętaj - powiedziała i pocałowała mnie w czoło. Byłeś dzielny – dodała.

LUSTRO

Jeszcze spałem, jeszcze nic nie wiedziałem o jawie, jeszcze Morfeusz tulił mnie w swych ramionach, a mimo to usłyszałem ten płacz. Z początku cichy i wstydliwy, później nieco bardziej natarczywy, ale teraz słyszę już normalny po prostu szloch dziecka. Dzieci płaczą inaczej niż dorośli, ich płacz jest rozpoznawalny z daleka. Może dlatego, żeby zwracać uwagę dorosłych na zagrożenie ich bezpieczeństwa i pilną potrzebę niesienia pomocy. Ponadto płacz dziecka wzbudza, w każdym razie powinien wzbudzać, u dorosłych życzliwą troskę i zainteresowanie powodem płaczu. Ten specyficzny sygnał o pomoc znany jest na całym świecie. Dziecko dopóki nie pozna innych, często wyrafinowanych sposobów zwracania na siebie uwagi, stosuje ten przydany mu przez naturę najprostszy system porozumiewania się ze światem ludzi dorosłych. Szkoda tylko, że w miejscach, gdzie tego płaczu jest tak dużo, w domach dziecka, w ośrodkach pomocy dzieciom, w placówkach pedagogicznych, w izbach dziecka, odbierający ten sygnał nie reagują nań w sposób właściwy, a inaczej, reagują nieludzko, reagują obojętnością lub – co najgorsze – agresją.

Więc słyszę ten szloch, tę najlepiej i najprościej wyrażaną prośbę o pomoc, o ratunek. Czas, kiedy jesteś jeszcze na granicy snu i jawy, kiedy już nie śpisz, a jeszcze nie funkcjonujesz w rzeczywistości, ten czas jest najbardziej interesujący.

Teraz, kiedy nie wiadomo jakim sposobem i dzięki jakiemu mechanizmowi, przebijam się w świat realny i już jestem po tej drugiej stronie, gdzie obowiązują zasady rzeczywistości, płacz dziecka ustał, zanikł, zamilkł, przestał być słyszalny, czy zatem w ogóle był?

Świadomość tego faktu, zamiast mnie uspokoić, wzbudziła większy niepokój. Więc jak to, jeszcze przed chwilą ktoś bezradny wzywał mojej pomocy, a teraz, kiedy jestem gotów pospieszyć, zbadać źródło czyjegoś niepokoju, nie jest mi dane dotrzeć do tego kogoś. Przecież jeszcze przed chwilą potrzebę takiej pomocy ktoś wyraźnie sygnalizował. Leżałem jeszcze i nasłuchiwałem. Może za chwilę usłyszę ponownie ten sygnał, to zawołanie o pomoc. Niepokój wynikał także z obawy, czy już nie jest za późno na niesienie pomocy, czy moja gotowość nie jest aby spóźniona, czy nie zareagowałem zbyt późno, czy chęć przedłużenia snu, czy to po prostu moja znieczulica, nie są przyczyną opóźnienia w niesieniu pomocy. Więc czekałem w nadziei, że płacz się powtórzy, że teraz będę miał szanse zanieść oczekiwaną pomoc. Dziwne, bo liczyłem na to, iż dopiero kolejna fala płaczu, czyli trwanie czyjegoś cierpienia, da mi szanse na mój ludzki odruch. Czekałem na próżno. Ale jeszcze chwilę, bo może jeszcze usłyszę… Niestety, cisza… Wracam więc do tak zwanej rzeczywistości, zacznę jak co dzień od golenia… lecz cóż to… jak to… nie… dziś się nie ogolę, z lustra patrzę na siebie, swoimi oczami dziecka… co za ulga.

WYMIANA

Oczy miała zamknięte. Jej pomarszczona i zmięta jak gazeta twarz w niczym nie przypominała tej dawnej, gładkolicej, eleganckiej i zawsze starannie ubranej nauczycielki. Dzisiaj stoimy z Tereską, przy tym dziwnie wysokim łożu, pełnym rurek, kabli, wężyków, stojaków i ekranów aparatury medycznej.

Zanim weszliśmy do tej sali, na korytarzach pierwszego i drugiego piętra, pełnych wizerunków świętych i portretów przedstawicieli władz niebieskich, mijaliśmy czarno odziane siostry zakonne, przemykające jakby wstydliwie miedzy salami.

Może ze względu na naszą obecność i nasze nieśmiałe szepty, a może z innego powodu, oczy naszej pani profesor uniosły się powoli i bez żadnych emocji spoglądały na nas ciekawie. Przed nami, na łożu śmierci leżała Caryca, nasza licealna pani profesor.

- To ja, Tereska – zaczęła Tereska – byłam u pani we wtorek, dzisiaj przyprowadziłam do pani najbardziej ulubionego pani ucznia, poznaje pani?

Trochę mnie ta rekomendacja zaskoczyła, bo jako żywo nigdy do ulubieńców pani profesor się nie zaliczałem, ale nie zamierzałem prostować czy podejmować z Tereską dyskusji. Pani profesor lekko się ożywiła i zaczęła przełykać coś, co jakby do tej pory trzymała w buzi.

Przyniosłam pomarańcze - oznajmiła Tereska i jakby czekając na decyzje w tej sprawie, uniosła w górę niebieską reklamówkę.

- Włóż do szafki – usłyszałem stanowcze, choć ciche polecenie.

Z trudem odnalazłem w pamięci obrazy z dawnych lat i dziewczęce twarze tych dwóch starszych już pań, które również podeszły do ostatniego łoża naszej wspólnej sprzed lat pani profesor. Dawniej wspólnie drżeliśmy na sam jej widok. Nie mówiąc już o innych sytuacjach, jej licealnej tyranii. Obecnie, bez żadnej przecież satysfakcji, to my patrzymy na nią z góry.

- Już z łóżka nie wstaje, przychodzimy do niej codziennie i dopilnowujemy, żeby siostrzyczki częściej do niej zaglądały – tylko nasza natarczywa obecność wymusza na siostrach konieczność stałej opieki – tak skrótowo i nie bacząc czy pacjentka słyszy, emocjonalnie relacjonują mi sytuację moje dawne koleżanki.

- Przecież nie robią tego tylko z łaski bożej. Caryca przepisała na rzecz tego klasztoru cały swój majątek, mieszkanie, wyposażenie, meble, konto w banku - sama mówiła nam o tym, jak mogła jeszcze wychodzić i jak jeszcze w maju spacerowałyśmy z nią po tym parku za hospicjum.

– Powiedziały, że jedno jej ziemskie, własnościowe mieszkanie, użytkowane od pięćdziesięciu lat, zamieni na drugie – niebieskie, tym razem na użytkowanie wieczyste.

Wychodziliśmy w milczeniu... upływa szybko życie... przyszła mi na myśl ta znana z młodości, śpiewana bez dzisiejszej refleksji, piosenka. Kiedy wróciłem po zapomnianą parasolkę, minąłem siostrzyczkę z niebieską reklamówką pod pachą.

Pani Janina Fida-Kuszpit z Przemyśla przysłała na adres redakcji QL dwa wiersze. Jeden z nich drukujemy poniżej.

Janina Fida-Kuszpit

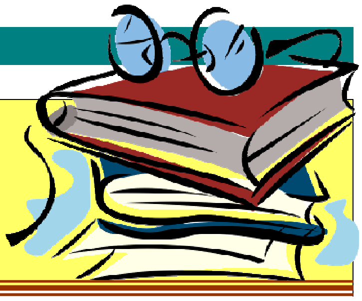
Mój Przemyśl

Przemyśl jest rodzinnym moim Grodem
Od zawsze znam i kocham widoki mego miasta
Od dzieciństwa przez młodość tyle dróg przemierzyłam
Wiele w moim życiu innych miast widziałam
Ale to zauroczenie wszystko przerasta

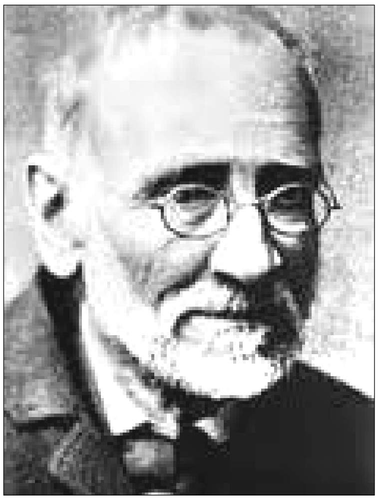
Lubię wędrować znanymi ulicami i coraz nowe widoki odkrywam
Spojrzę ze Zniesienia czy z góry z Lipowicy
Patrzę zachwycona i oczu oderwać nie mogę
Odnajduję te same znane wieże kościołów i dachy domów
Tu poznaję Katedrę, Salezjanie, a tu Synagogę
Gdy wspomnę codzienną wędrówkę do szkoły
Ze wzruszeniem odnajduję naszą „starą drogę"

Wokół Rynku zasiedziały się kamieniczki prastare
Nasza piękna Starówka kolorami się mieni
Grube mury i łuki odwiecznych Podcieni
Pod Zniesieniem wśród drzew oświetlana wieża
Nasza chluba – Zamek Króla Kazimierza
Kiedyś dane mi było w innym mieście żyć
Powróciłam niebawem – tu tylko może moje serce bić

18 V 2006



PÓŁKA Z KSIĄŻKAMI



Oskar Kolberg, Przemyskie. Dzieła wszystkie, tom 35, Kraków 1964. Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza.

W tym wydaniu *Półki z książkami* postaramy się nieco przybliżyć naszym Czytelnikom sylwetkę i dorobek Oskara Kolberga, głównie jako autora tomu poświęconego kulturze ludowej ziemi przemyskiej. Po raz pierwszy książka ta ukazała się ponad sto dwadzieścia lat temu (w roku 1891 w Krakowie, już po śmierci Kolberga), a przed blisko pięćdziesięciu laty pojawiła się jej reedycja, ale w niewielkim nakładzie. Nie jest to więc pozycja łatwo dostępna, a zapewne może zainteresować Czytelników QL. Dlatego też znalazła się na naszej półce, chociaż nie należy do nowości wydawniczych.

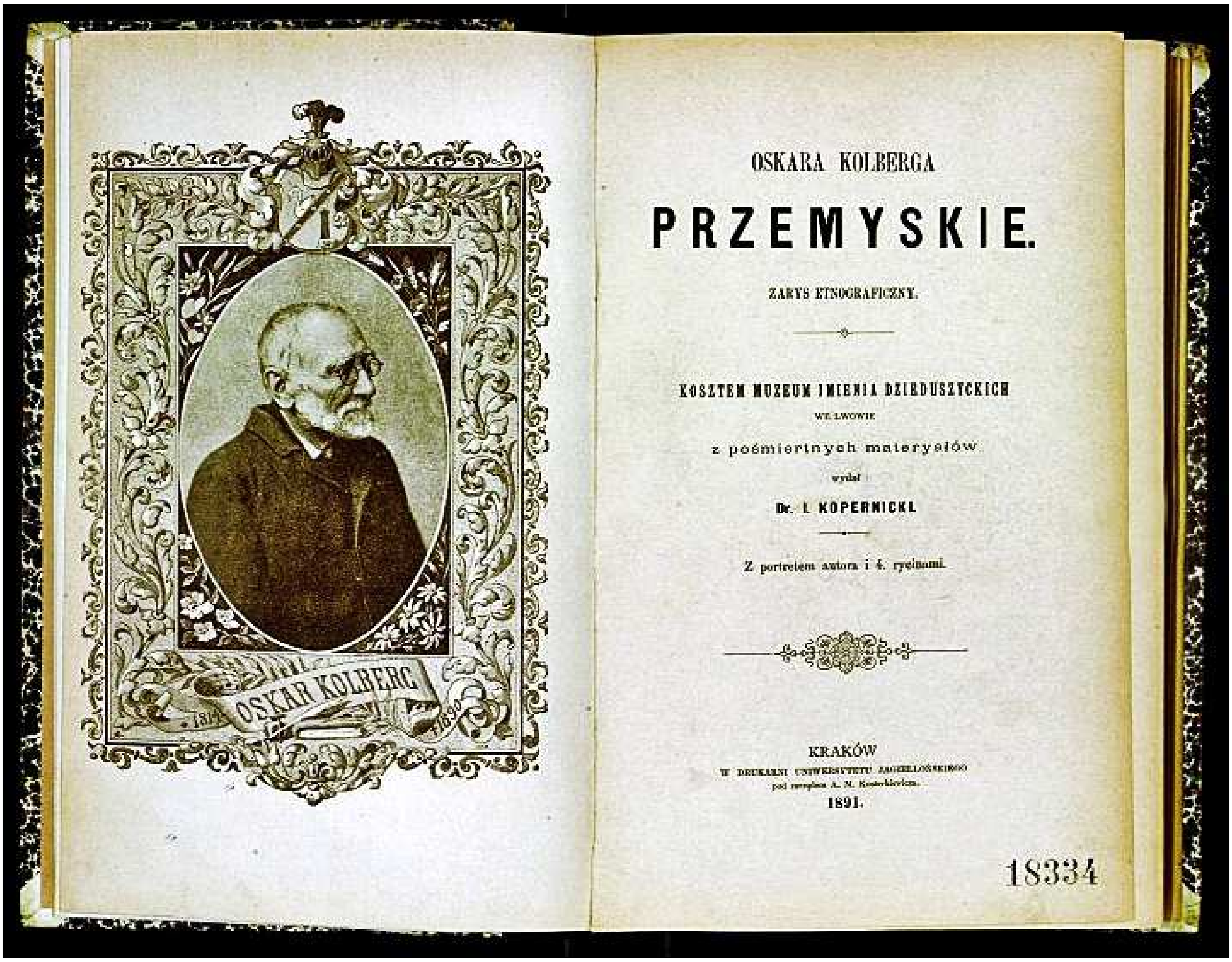
Oskar (właściwie Henryk Oskar) Kolberg przyszedł na świat w roku 1814 w miasteczku Przysucha (położonym na zachód od Radomia). Kształcił się muzycznie (m.in. w Berlinie). Od końca lat trzydziestych XIX w. odbywał liczne wędrówki, aby zapisywać muzykę ludową, obrzędy weselne, bajki itd. W różnych częściach ziem dawnej Rzeczypospolitej, znajdujących się wówczas – jak wiadomo – pod zaborami. Przez pewien czas mieszkał Kolberg w okolicach Krakowa: w dworach Konopków w Mogilanach i w Modlnicy, a następnie w samym Krakowie, gdzie zmarł w roku 1890.



Grób Oskara Kolberga na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie

<<<<<< >>>>>>

Od 1857 r. do lat dziewięćdziesiątych XIX wieku ukazało się trzydzieści kilka tomów monumentalnego dzieła Kolberga „*Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce*"; poszczególne części tej pracy były poświęcone innej krainie. Ziemię przemyską i sanocką odwiedził Kolberg w latach 1865, 1883–1885; zebrał wówczas interesujące materiały etnograficzne. W tomie zatytułowanym Przemyskie autor opisuje ukształtowanie terenu, historię, zabytki. Pisze też o wyglądzie chłopskich chat, zajęciach ludności, ubiorze, pokarmach, a także napojach; zadumać się można nad stwierdzeniem Kolberga:



„Napojem głównym ludu, prócz wody, jest jak wszędzie u nas gorzałka". Następnie autor przedstawia zwyczaje dotyczące Bożego Narodzenia, podaje nuty i teksty kolęd (polskich i ruskich). Później pisze Kolberg m.in. O zwyczajach związanych ze świętem Jordan, Wielkim Postem, Wielkanocą. Część książki zatytułowana *Obrzędy* przynosi wiadomości dotyczące chrzcin, a także pogrzebów. Dużo miejsca poświęca autor zwyczajom i pieśniom weselnym. W osobnych rozdziałach przedstawia inne pieśni i tańce, uszeregowane tematycznie (np. dumy, pieśni niewieście, dziewczęce, męskie, dziadowskie, dworskie); są też pieśni, jak pisze Kolberg, „krotofilne", np. ta, którą poznał w Wyszatycach:

„Szurgnuło, huknuło w lisi, komar z duba powalyv-si,
Rozbyv sobi hołowyszcze na dubowym korenyszczi.
Wyłetiła mucha z chaty komareńka ratowaty.
Oj komaru-ż, myj komaru, tož mi tia žal ne pomału.
Czym-že ja tebe uliczu? Wir' mi, že te dobre žyczu.
Pidu masty kupowaty, hołowońku smarowaty" itd.

Dodajmy, że tekstom prawie wszystkich pieśni towarzyszą zapisane przez Kolberga nuty.

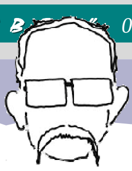
W tomie *Przemyskie* znajdziemy również kilkanaście bajek (zebranych m.in. w Sanoczanach, w okolicach Dobromila czy Niżankowic).

Książkę zamyka rozdział poświęcony wierzeniom, zabobonom, gusłom, czarom i lekom (np. możemy się dowiedzieć, że ugotowane pączki brzozy *„mają być bardzo skuteczne przeciw cierpieniom reumatycznym")*.

Oskar Kolberg wielce się zasłużył jako etnograf, który zebrał bardzo bogaty materiał dotyczący kultury ludowej różnych części kraju, w tym również ziemi przemyskiej.

Mariusz Frodyma

Zdjęcia: str. 18 – wikipedia
str. 19 – Cyfrowa Biblioteka Narodowa



Michał Kozera rysuje





Humor żydowski

Pewien kupiec, właściciel galanteryjnego sklepu, pośliznął się kilkakrotnie na deptaku cnoty małżeńskiej. Traf chciał, że właśnie w okresie jego nieskromnych oszołomień również i sklep zaczął chylić się ku upadkowi, a ilość klientów malała z dnia na dzień.

Niewierny małżonek zwrócił się zatem o radę do przyjaciela swego ojca, człowieka słynącego z pobożności i suro-wości obyczajów. Chasyd, wysłuchawszy relacji donżuana, zawyrokował:

– Popełniłeś grzech śmiertelny! Wykroczyłeś przeciwko przykazaniom! Udaj się zatem do cadyka, wyznaj wszystko i proś o surową pokutę.

Kupiec, któremu niepowodzenia materialne bardzo ciążyły na sercu, postąpił w myśl udzielonej mu rady.

Cadyk wysłuchał uważnie spowiedzi młodziana, potem spytał:

– Hm... tak. Ale z kim to zgrzeszyłeś?

– Rabbi, tego nie mogę wam wyznać. To sprawa czci niewieściej, rozumiesz?

– W takim razie ja ci powiem, ty na pewno zgrzeszyłeś z Różą Szpigiel, no, z tą Różą Szpigiel, co mieszka przy ulicy Franciszkańskiej. Ona nie ma czcigodnej opinii...

– Nie, rabbi. Przysięgam, że nie!

– No to ty musiałeś cudzołożyć z Belą Wasserkorn, z tą, której mąż ma hurtownię obuwia. To kobieta grzeszna.

– Nie, rabbi. Przysięgam, że nie!

– No to w takim razie tylko z Deborą Zisman, tą żoną kramarza, którą mąż złapał niedawno na złym uczynku z komiwojażerem z Kołomyi...

– Nie, rabbi, nie!

– No więc kto?!

– Tego nie mogę wam wyznać. To sprawa czci niewieściej, rozumiecie.

– Uparłeś się, a zatem precz z moich oczu, grzeszniku! Po tym posłuchaniu grzesznik wrócił od ojcowskiego przyjaciela w bardzo różowym nastroju.

– No co? – pyta chasyd. – Ciężką ci zadał rabbi pokutę?

– Pokuty to mi nie zadał, ale za to dał mi trzy pierwszorzędne adresy...

STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA
w Krakowie

Adres: ul. Ułanów 46/151, 31–455 Kraków, tel.: 124113493, 601961488, e-mail: czq@onet.pl
Rachunek bankowy: PKO BP SA. I Oddział w Krakowie, Nr konta: 76 1020 2892 0000 5002 0160 1236
Redakcja: Czesław Kudła – red. nacz., M. Frodyma. Współpraca: M. Kozera, Z. Ostrowski, J. Schubert, A. Sarkady. A. Stanok

WYDAWNICTWO WEWNĘTRZNE
STOWARZYSZENIA PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA w KRAKOWIE

MOŻE UKAZYWAĆ SIĘ NIEREGULARNIE

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania nadesłanych tekstów.
Prezentowane poglądy nie zawsze zbieżne są z poglądami redakcji.